

40735

Z BIBLIOTEKI
SEMINARIUM
SANDOMIERSKIEGO

Rok VII Styczeń 1924 r.

№ 5.

SPÓJNIA

MIESIĘCZNIK UCZNIÓW GIMNAZJUM PAŃSTWOWEGO
w SANDOMIERZU

Cena egzemplarza niniejszego wynosi 10 groszy polsk.	Wychodzi co miesiąc pod odpowiedzialną redakcją prof. M. Lewickiej	Adres Red. i Adm. Sandomierz Gimnazjum Państwowe
--	--	--

1863.

40735

1863... Ta data nie zetrze się nigdy w pamięci Polaka, nie zniknie z duszy tego, w którym prawdziwa polska krew płynie..
Jeszcze raz w roku 1863 zajaśniało słońce nad łanami polskimi, jeszcze raz wybuchł gnębiony duch narodowościowy polski, zakipiała młoda polska krew... Przyszedł czas, pora odpowiednia. Wypadł z katowskiej ręki straszny obuch, gnębiący wszelkie zapęły, wszelkie szlachetne porywy, wszystko, co polskie. Zatliły się iskry wolnościowe, rozżarzone powiewem „wiosny ludów”, a tłumione tak długo taranem srogich rządów. Nie odebrały odwagi próżne wysiłki braci—powstańców, pomszczone okrutnie szubienicą, kartaczami i nożem. Nie zastraszyły serc zgliszcza, mogiły i piszczele niewinnych, porozrzucane po ziemiach innych zaborów. Wszystko umacniało ducha. Odżyły dawne wspomnienia. Opowiadania o powstaniu kościuszkowskim, legjonach, czy krwawych zapasach listopadowych przechodziły z ust do ust — z serca do serca. Otucha zlała się z radością, niewysłowionem szczęściem, tembardziej, że z rozporządzenia nowego cara otwarły się podwoje więzienne i setki patriotów ujrzało pielesze rodzinne. Echa przeszłości, niesione głównie przez uwolnionych więźniów i drukowane słowa, z pod dawnej, ostrej cenzury uwolnione zagrały na uczuciach. Rozbrzmiewały ulice Warszawy, w czasie rocznic narodu stutysięczne tłumy zalegały miejsca publiczne, ze stutysięcznych ust wydierały się pieśni narodowe. I wydawać się mogło, że naród ten opętał szal jakiś, tyle radości, tyle życia było w jego duszy, tyle szczęścia w jego szczęściu... Nadzieja wolności ogarnęła wszystkich. A przecież była to dopiero zorza

upragnionego słońca, które, przywitawszy najpierw dzień najjaszawszymi promieniami nadziei, zakrywa się najczęściej czarną chmurą zawodu. I tak się stało. Znikły płonne nadzieje! Wyraźny dekret cesarski: „precz z marzeniami” rozczarował umysły, ale nie odebrał resztek nadziei, nie zniweczył tego, co cios i niedola wyryła w sercu każdego. Tętniały serca, ale już nie błogą nadzieją szczęścia,—nadzieją cierpień w obronie własnego ducha. Manifestacje ogarnęły szersze masy... Padły strzały do bezbron- nego tłumu. Pięciu poległych zbryzgało krwią bruki warszawskie... Całe miasto wyległo z domostw patrzeć ze zgrozą na ofiary mocarza, który niedawno wydawał się Aniołem dla tych, do których teraz strzelać kazał... Zapanowało straszne oburzenie. Żal przemienił się w nienawiść ku bratobójcom, rozpacz—w męstwo. Nie pomogły bagnety i karabiny. Dziesiątki tysięcy towarzyszyły zwłokom w orszaku pogrzebowym. Wieść o niesłychanym wypadku błyskawicą rozbiegła się po kraju. Zawrzało w sercach krew- kiej młodzieży... Myśl, że jedynie zbrojne powstanie może wy- prowadzić z ciężkiej sytuacji, opanowała wszystkich... Powstały spiski w kraju i wśród emigrantów. Zbliżała się chwila stanow- cza... Dopalał się lont, i wkrótce miał nastąpić wybuch. Wszystko było jawnem. Czekano hasła, lub wyzwania do walki. Tymczasem wśród najgorętszej chwili przychodzi rozkaz sprytnego cara ma- sowego poboru do wojska młodzieży polskiej, czyli t. zw. „bran- ka”. Zapóźno spostrzegł car, jak się srodze zawiódł, jak płochym był jego plan, boć chyba tylko śmiech szyderczy mógł wzbudzić w duchu tych, którzy całym sercem i duszą przygotowani byli do wielkiego dzieła. Zapełniły się lasy nasze ludźmi wszelkiego stanu. Odezwały się wnętrza puszczy polskich gromkimi okrzy- kami powstańców. Jeżeli nie obowiązek świętej sprawy, to ko- nieczność pędziła wielu. Bo milej chyba było niejednemu lec bohatersko w walce o wolność, niż zginąć w śniegach sybirskich może dla ukontentowania tego, którego wspomnienie nawet w naj- twardszych sercach grozę wzbudzało. Milej spocząć w mogile w rodzinnej ziemi, nad którą może choć kmieć pobożny modli- twę zmówi i łez kilka uroni, a ptak z leszczyny żalosnym świer- gotem mu odpowie, niż gnić w odludnem pustkowiu, gdzie chyba śnieg mogiłę usypie, wilk z żalości zawyje, a wiatr z ję- kiem zapłacze...

I dziwna rzecz, ten i ów nie rozumiał o co tu chodziło, ale uczył ucisk w duszy i jakiś serdeczny żal... Cierpienia, nie-

moć wobec przemocy jedno wryły piętno w duszy wszystkich, zjednoczyły pragnienia, skojarzyły dusze, zbratały serca. I wielka musiała być siła w tem zjednoczeniu serc, kiedy 20 miesięcy szczupła garstka powstańców w okrutnych cierpieniach wytrwała, kiedy mogła znieść straszne ciosy topora z ręki Azjaty, ośmielić się rzec, że nie zgasła, że powstanie kiedyś w sercach tysięcy mścicieli, zrodzonych z jej szczątków! I wypadały prawie z pod ziemi gromadki bohaterów naszych, jak wstające z nienacka wiosennych wiatrów oddechy, rwąc straszniemi kłami rozpacz i znikając z powrotem w głębi puszczy z otuchą w sercu, że jeszcze żyją, że mogą podzielić swą radość i znowu gnębić wroga.

A Moskwa szalała, poskramiając okrutnie „buntowszczyka”, wysyłając swych „wieszatieli”, straszne narzędzie swej władzy, by wypełniali więzienia gromadami czasem Bogu ducha winnych ojców rodzin, by zaludniali pustynie sybirskie i dostarczali żeru dla ptactwa z tysiąca szubienic, wzniesionych na ziemiach polskich... Ginęli bez słowa żalu, czy skargi bohaterowie wolności z wiarą, że w nich tkwią ideje narodu, w nich jest „miljonów dusza”, że za miliony cierpieli, ale też — że otrzymają nagrodę milionów i dlatego umierali z uśmiechem na ustach, upojeni radością jakąś, dziwnem szczęściem... Zniósł barbarzyńskie obelgi i śmierć na szubienicy ks. Mackiewicz z majestatycznym spokojem; padł Borelowski (Lelewel) z ostatniemi słowami na ustach: „Bijcie chłopcy tego Moskala, a za moją duszę dajcie na mszę świętą”; zgrzybiał w więzieniu Langiewicz; otrzymał największą dla siebie nagrodę — stryczek ks. Brzózka za tyle trudów i znoju ze swoim „wielkim”, bo 7 mar — powstańców liczącym oddziałem; zawiśli wreszcie wśród lamentu tłumów ostatni przywódcy powstania Traugutt i Kalinowski za to, że ukochali ojczyznę i naród, że szanowali powinność, słuchali głosu sumienia... A przecież świat cały patrzył na to, cały świat widział najszlachetniejsze, konwulsyjne prawie wysiłki, widział też zbrodnie, tyraństwa niesłychane, i nie powstał, nie oburzył się na tak straszne rzeczy.

Przyszła wreszcie pomoc od serdecznego przyjaciela: na usilne prośby przysłano nam cyniczną odpowiedź: „Trwajcie”! Lecz jakże miała wytrwać garstka zatracieńców, oddających życie za to, co ukochali? Czy mogła niewielka grupa oddanych idei stawić czoło całym dziesiątkom tysięcy, wywalczyć prawa tym, którzy ich prześladować zaczęli?... Straszne i haniebne pamiętki... Serce kraje się na wspomnienie zajścia w Sołowiówce —

Golgocie męczeńskiej polskiej, na której ukrzyżowaną została młodzież polska rękami tego ludu, który umiłowała całym sercem i duszą, za którego wolność życie niosła... A jednak tak było, tak być musiało, bo taki był los nasz, a niczyj więcej.

Szalała bezkarnie Moskwa, srożąc się swą potęgą nad uciśnionymi, budując gmach swej władzy na łzach i cierpieniach nędzarzy, pastwiąc się w najokrutniejszy sposób na uczuciach bezsilnych jedynie dla zaspokojenia swej ambicji, rozpasanej żądzą bogactwa, panowania nad światem, a może nawet i dalej...

A Polska wiła się w cierpieniach, znosiła najboleśniejście cięcia „ślepego braterskiego miecza” bez współczucia i żalu u tych, którym najwięcej ufała. Szła młodzież powstańcza na straconie z wiarą, że jej wysiłki nie pójdą na marne, że jej idee odbiją się echem po wszystkich zakątkach świata, gdzie panuje ucisk i nędza, i wzbudzą tam współczucie i zemstę, bo tylko nieszczęśliwy może naprawdę odczuć cudzą niedolę, bo potęga i przemoc mija, „jak mija wichur i burza”, ale pragnienia narodu są opoką, której ani wichur, ani nawałnica, ani gromy nie zniszczą, lecz hartu i mocy dodadzą.

Ego.

POWSTANIE STYCZNIOWE w SANDOMIERSKIEM.

Po nieudalnym powstaniu listopadowym nastąpił w kraju wielki upadek ducha. Jednostki znaczniejsze wyemigrowały lub zostały stracone przez Moskali. Rząd starał się siłą przeprowadzić swe cele, to zn. zdusić i rzucić sobie pod nogi naród polski. Setki tysięcy wywłaszczono, a na ich miejsce sprowadzono osadników z głębi Rosji. Ale i patryjoci nie spali; szczególnie młodzież rozwinęła czynnie swą działalność. Powstałe liczne organizacje tajne pokryły siecią kraj cały. Widocznem było wszystkim, że wybuch musi nastąpić. Centralny Komitet, jako tymczasowy rząd narodowy (tajny), projektował insurekcję na wiosnę 1863 r., ale wobec mającej nastąpić branki, przyspieszono wybuch na 22 stycznia.—Branka ta była fatalną! Obliczona na to przez Wielopolskiego, by spiskowych wciągnąć w szeregi rosyjskie, nie obowiązywała chłopów, ani bogatej szlachty. Było to krzyczące bezprawie. Nie pomogły sprzeciwy ks. Kon-

stantego, ani jen. Ramsay'a— margrabia uparł się i postawił na swoim. „Wrzód nabrał i rozciąć go należy” — mówił otwarcie Wielopolski.

Komitet Centralny znalazł się w krytycznym położeniu. Zarządził dyzlokację spiskowej młodzieży, przez co uniknął częściowo konsekwencji branki. Do powstania naród nie był przygotowany. W pomyślny skutek nie wierzyli sami nawet organizatorzy. Uważali ten wybuch za pewnego rodzaju *harakiri* ich samych. Chcieli tylko wyrazić protest na gwałty rosyjskie, oraz okazać Europie, że „jeszcze Polska nie zginęła”. Pierwsze starcia, dla powstańców pomyślne, miały miejsce w lasach okołowarszawskich. W przeciwieństwie do powstania z r. 1830 — w styczniowym nie było nawet w części takiego skumulowania sił; były to tylko drobne oddziały, uzbrojone w dubeltówki, kosy, piki a nawet w zwykłe pałki, przebiegające, urywając, co się dało lub rozbite, kryjąc się po lasach.

Jako organizatora powstania w Sandomierskiem wyznaczył Komitet Marjana Langiewicza. Gorący patriotyzm oraz znajomość sztuki wojskowej wyróżniały go z pośród tylu innych dowódców powstańczych. Do powstania przygotowywano się już od listopada 62 r., tak, że po odebraniu rozkazu Langiewicz był gotowy do boju.

Jako bazę operacyjną wziął [Góry Ś-to Krzyskie najlepiej nadające się do partyzantki. Nie Langiewicz jednakże pierwszy rozpoczął walkę;—byli to bracia Dawidowicze, którzy zebrawszy partję z górników, mieszczan i urzędników napadli na Suchedniów już 22. I. 63. Zabrawszy kasę ruszyli na Bodzentyn i w nocy stoczyli walkę z tamtejszemi garnizonami moskiewskimi,—ale dla siebie niepomyślną. Moskale nie śmieli dłużej tu pozostać i cofnęli się do Kielc.

W nocy 23. I. Langiewicz wspólnie z Jasińskim dokonał napadu na garnizony w Szydłowcu. Mimo, że Rosjanie zostali ostrzeżeni przez żyda i czekali przygotowani, atak doskonale obmyślany, powiódł się w zupełności. Moskale musieli się cofnąć, tracąc, według raportów ich samych, 24. Powstańcy się nie utrzymali; skoro po nocnej bitwie znużeni odpoczywali,—nieprzyjaciel niespodzianie ich zaskoczył i z miasta wyparł. Rozbestwione żołdactwo rzuciło się następnie na bezbronnych mieszkańców i wymordowało około 36, osób a przeszło 70 zakuło w kajdany, jako niby jeńców wojennych. Po bitwie szydłowieckiej

cofnął się Langiewicz do Wąchocka i tu założył główny obóz. Nie mógł się jednak długo tu ostać, bo kolumny rosyjskie zbliżały się powoli z trzech stron: Kielc, Radomia i Opatowa. Już 2. II. Czachowski, wysłany naprzeciw ciągnących nieprzyjaciół, odniósł znaczne zwycięstwo około Bzina, lecz następnie cofnął się do Parszowa, gdzie też sam Langiewicz z głównymi siłami nadciągnął. Moskale zaś, zajmąwszy Suchedniów i w okropny sposób zemściwszy się nad niewinnymi mieszkańcami,—poszli śladem powstańców i pod Parszowem (w pobliżu Wąchocka) wywiązała się znaczniejsza potyczka. Przewaga liczebna Moskali ostatecznie zrobiła swoje; powstańcy się cofnęli, ale i Moskale nie śmieli ich ścigać.

Langiewicz, odpocząwszy nieco w Bodzentynie, posunął się na Ś-ty Krzyż i tam w klasztorze obwarował się. Za nim pociągnął generał rosyjski Czengery i stoczono kilkogodzinną bitwę.

Rosjanie, nie mogąc przełamać szyków powstańczych, cofnęli się. Lecz i Langiewicz poniosłszy znaczne straty w szeregu potyczek musiał się na siłach wzmocnić, dlatego ruszył na południe. Po drodze przyłączyły się do niego resztki oddziału Zdanowicza. Ten bowiem, zebrawszy dość znaczny oddział (560) w Kazimierzu, chciał połączyć się z powstaniem lubelskim, ale nie było już czasu, bo Moskale szli za nim. Usłyszawszy o bitwie parszowskiej, Zdanowicz ruszył na Sandomierz, chcąc połączyć się z Rajskim, kom. miasta. W Słupczy Moskale go napadli, lecz on sam haniebnie uciekł i rozpoczęła się rzeź powstańców. Frankowski, który po Zdanowiczu objął dowództwo, ciężko ranny został odwieziony do szpitala w Sandomierzu. Cała dzielna młodzież puławska legła co do nogi. Wogóle straty powstańców wynosiły 75. (Wszyscy zostali pochowani w Dwikozach). Reszta oddziału, połączywszy się z Rajskim, przedostała się do Langiewicza. (Frankowski, poznany w szpitalu w Sandomierzu został wyleczony, a następnie w Lublinie powieszony).

(c. d. n.)

W. P.

O poecie - powstańcu.

Ach, kiedyż za ciebie w bój skoczym spragnieni,
 O! Polsko, ty matko miłości?
 I kiedyż przy huku dział, trzasku płomieni,
 Podniosiem okrzyki wolności?

I kiedyż wykujem, swobodni oracze,
Lemiesze z pałaszy skrwawionych?
Ach, kiedyż na ziemi już nikt nie zapłacze,
Prócz rosy pól naszych zielonych!

M. Romanowski: *Kiedyż*.

Tych kilka prostych, choć ważkich w treść słów wystarczy na wyobrażenie sobie fizjognomji poetyckiej Mieczysława Romanowskiego, poety-rycerza, który chciał pieśnią własną zagrzeć zgnuśniałych rodaków do czynu orężnego, który Boga o „Leonida śmierć na Termopilach” w modlitwach dziecięcych prosił, a u którego rozdźwięku między słowem a czynem nie było:—legł z bronią w rękę na polu bitwy, legł, by śmiercią bohaterką — wymarzoną i upragnioną — przypieczętować ideologję romantyzmu polskiego, który od pieśni patryjotycznej potrafił się wznieść do czynu na polach bitewnych.

Bo Romanowski wiernym był romantyzmu epigonem. Ale ten jego romantyzm nie zamykał się w ścisłym obrębie prymitywnych uczuć patryjotycznych, widocznych na zewnątrz li tylko w zagrzewaniu do zemsty na wrogu, lub w pobudce do czynu; romantyzm Romanowskiego — to romantyzm bojujący, który poszedł drogami Mickiewicza, porzucającego lutnię poetycką wobec ważniejszych wypadków, co w życiu narodu zaważyć mogły, — Mickiewicza — bojowca, twórcy Legjonu Wschodniego. I takie to właśnie szlachetne odczucie puścizny romantycznej, na Wodzu duchowym wzorowane, doszło w Romanowskim do zenitu: stał się „mieczem wojującym romantyzmu”, poezja jego stała się „rymowanym alarmem”, a on sam — wcielenie idei czynu — spłonął na ołtarzu Ojczyzny jako romantyk, w dziejach naszych pogrobowych jeden z ostatnich.

* * *

Interesować nas może pytanie: czem się to stało, że z pośród „wielu śpiewaków koła” jeden Romanowski wzbił się odrazu swą pieśnią — czynem ponad szare ich rzesze, — on, poeta z Bożej łaski, a zarazem wzór Polaka-obywatela, który bez zawahania poświęcił się bez reszty życiem swem całem Ojczyźnie.

Złożyło się na to przyczyn wiele: tak zewnętrznych, ze stosunków politycznych płynących, jak i wewnętrznych, na które w wielkiej mierze oddziaływało to, co się naokoło działo. Bo życie Romanowskiego przypadło na okres wielu brzemiennych w skutki wydarzeń, które na ideologję przyszłego Tyrteusza powstańczego w dużym stopniu oddziaływać miały. Niezagojona jeszcze

rana listopadowego powstania zawisła nad jego kołyską (*1834) w latach chłopięcych straszna rabacja, (unieśmiertelniona w chorale Ujejskiego: *Z dymem pożarów*), musiała krwią i łzami prze-
 poić młode serce przyszłego powstańca, rok wreszcie 1848. „Wiosna Ludów” oczekiwana, tak obfitująca w wydarzenia, zwłaszcza w stronach rodzinnych Romanowskiego, w Galicji, pobudzała idee wolnościowe, których wyładowaniem stał się rok 1863.

Wyobrazicielem prądów wolnościowych, prących w piątym dziesiątku lat zeszłego stulecia do wyzwolenia się z pod przemocy wroga drogą orężnej walki — był M. Romanowski. Wszędzie czynny, wszędzie obecny, gdzie chodziło o jakąś czynność konspiracyjną — powołanie bowiem swe, poezję, uważał nie za cel życia, ale za podniecie do upragnionej walki z wrogiem — żył koniecznością złożenia samego siebie na ofiarę za wszystkich. Dlatego to nie szukać w dorobku twórczym Romanowskiego dzieł, w których artystyczna forma kojarzyła-by się z rzeźbionym słowem, — siła natchnienia raczej jest znamieniem poezji żołnierza poety. Poezja jego powstańcza, zawarta przedewszystkiem w drobnych lirykach — to gromka pobudka do czynu, to alarm w przeddzień wybuchu powstania. W drobnych tych wierszach odbija się jak na dłoni ówczesny nastrój młodzi rewolucyjnej, tej, co legła po lasach i kniejach w walce z Moskalem, odzwierciedla się gorące serce polskie Romanowskiego, które spaliło się w miłości nie ziemskiej kochanki, ale tej, jedynej, Polski, umiłowanej od dziecka i „na wieki”.

Marzenia jego spełniły się. Padł w walce z wrogiem, ziścił swe sny młodzieńcze przez śmierć wspaniałą na polu bitwy, skonem udowodnił, że „słowo” i „czyn” były u niego jednoznaczne.

* * *

W rocznicę styczniowego powstania niech nam młodym, stanie przed oczy ten „rycerz—chorąży walk o najwyższe dobro ziemskie, o ducha wolnego”, niech czynem swym skrzepi nas w wytrwaniu w drodze do celu, niech nas uczy miłości Ojczyzny, której w potrzebie...

„...życie, krew nasza i ramię
 I chwała w zgonie”.

Lelum.

TYM, CO POLEGLI...

*Legli za sprawę świętą, walcząc pośród chłodu,
Gdy do boju im surmy wicher grał wśród drzew...
Czasem tylko wśród nocy, niby czar rapsodu,
Duch poległych ich przodków nucił wielki śpiew.*

*Garstki tylko ich z wiarą do boju ruszyły,
I konały od mrozu, od śmiertelnych ran;
Śnieg puszysty, śnieg biały sypał im mogiły—
Często nocą nad niemi z wichrem wodząc tan.*

*Tych, co w walce śmierć życia nie urwała struny,
Pochłoneła hen w dali syberyjska toń,
I schowała w swem łonie bohaterów truny,
Którym tylko za Polską smętek wieńczył skroń...*

*Legli za sprawę świętą, za wolność narodu;—
Krwi ofiarnie przelanej nie zaginął plon...
Tym, co życie sterali wśród cierpień zamłodu,
Hen po latach zadzwonił wolny, wielki dzwon!*

*A tym, co za Ojczyznę życie swe złożyli,
Tym, co sypał mogiły biały, śnieżny puch—
W swoich sercach rodacy pomniki wryli,
W których osiadł na szczycie nieśmiertelny duch!*

J. S.

W styczniową noc.

Był lud, co wieki z rozpiętym Wolności sztandarem szedł nieustraszenie. Był ptak, co lotem górnym, podniebnym bujał pod obłokami niczem nieograniczonej wolności. Strudzony i schorzały, ze szczytów górnych zwałił swe cielsko potężne, ogromne... lecz nie ducha... Głodne ramiona ciemnych, zaślepionych dziką żądzą posiadania, drapieżnych wilków rozdrapały nieszczęsne ciało w kawały... lecz nie ducha... Duch żył wiecznie i miał wychować synów, którzyby zdeptanemu ciału przypięli silnemi

ramiony wiary, miłości i czynu skrzydła ideału... którzyby pchnęli go na tory górne, podniebne... do Wolności.

* * *

Było ich tylko kilku. Lecz wszyscy dzielni, silni i zrezygnowani. Herosy ducha! Zrodziła ich Matka — Ojczyzna, osłoniła męzne piersi puklerzem wiary i miłości do siebie i kazała... walczyć... Przez trud, niewygody szli o nią się bić. Biwakowali cicho w pomroczech głuchego lasu. Gdzieś po dalekich śnieżnobiałych polach tłukł się zbłąkany poszum wichru i rwał w powietrze białe słupy... Kaskadami czerwieni rzygał ogień smętnie, ponuro. Blask od ogniska malował cudnie oblicza twarde, żołnierskie. Czoła zorane wieczną troską, lecz świetlane, promienne, otoczone nigdy niezgasłą aureolą chwały. Od oczu bije siła nieugięta, stalowa. Mocarne, silne dłonie ściskają kurczowo kolby i rękojeści.

I była cisza ogromna. Kiedy niekiedy zasyczał złowrogo czerwony płomień ognia, zaszeleścił spadający z gałązki śnieg miękki, puszysty i... zdawał się swą białością nieskalanego oblicza pieścizotliwie szeptać:—Chodź! chodź!, przytulisz się do mnie, ja cię ciepło białą szatą okryję i zmarzła ziemia lżejszą ci będzie... Chodź!—szeptał niedosłyszanie śnieg. Marsowe duchy bojowników wolności słuchały... Z głębi serca niejednego wyrwało się:—Zaraz, poczekaj!... I oczy zaszły na chwilę mgłą smętku, niepokoju. A dusze poniosły się hen... przez przestrzenne dale białych tumanów śnieżnych do cichych, rodzinnych chat. Ciężka zaduma dla serc młodych! Lecz dusze wnet wróciły do spokoju, uspokoiły się serca, jak uspakaja się wstrząśnięta toń głębin. Stali dalej nieugięci, zasłuchani w przemożną ciszę głuchej nocy, w poświsty dalekie wichru... Stali pewni, że oni krwią swą zapiszą historję niewoli Ojczyzny.

W rozimaginowanych wyobraźniach sunął powoli, uroczyście Duch Zmarłej... I dusze ich zobaczyły, jak zbliżał się do każdego i wyjmował z gorących ich piersi płonące serca i kładł na ołtarzu miłości Matki — Ojczyzny... Z ołtarza podniosły się wonne, jakby kadzielne dymy, splotły się razem i dusza żołnierza ujrzała Polskę, a w ręku Jej... zerwany łańcuch kajdan...

* * *

Jak pobrząk natrętej osy, szalony świst przerznął gwałtownie powietrze. Drgnęły żołnierskie twarze.—Hej! Oni tę muzykę dobrze już poznali! Duch się otrząsnął z marzenia i stał się twardym, mocnym jak gład. Wyczekujące serca zaskowytały radośnym chichotem...—W bój! w bój!... Broń werznęła się silniej w muskularne dłonie... Otoczyli pień starego, ogromnego drzewa i stanęli—gotowi. Z głębi leśnych, czarnych mroków nadchodził głuchy, miarowy huk. Jak dziki bałwan rozkielznanego żywiołu nadchodził silny oddział moskiewskiej piechoty. Kolumną długą, zjeżoną groźnie bagnietami, jak bór w czas burzy się pochylający, szli krokiem miarowym, równym...

Dziwnie zmieniły się oblicza wyczekującej śmierci garstki. Czerwone blaski pełgały po ich nieustraszonych twarzach... Tworzyli jeden niezłomny, granitowy słup... Nad ich głowami, wśród nocnych cieni i blasku od ogniska padającego, płynął majestatycznie sztandar Orła Białego...

Czyjaś mocarna dłoń chwyciła drzewce... Chwila ciszy jak przed burzą... A kroki złowróżbne słyhać tuż... oczy szukają... szukają potwora, który za chwilę z ciemni boru wyjść ma... A tupot coraz bliższy, bliższy... Brat oparł karabin o ramię brata i tak czekali... Śmierci i chwały...

Zakrzepły dusze, zastygły o marmur spokoju oblicza... Płomienne, gorejące oczy zwróciły się w płynący nad głowami sztandar. W serca wstąpił hart żelazny, stalowy...

Zgrzyt, jak spuszczonego zamków, i trzask ogromny odbił się tysięcznym echem w boru... Odpowiedział mu cichy, głuchy jęk ciemności... I znów miarowy zgrzyt... i znów jęk...

Przy blasku dogorywającego ogniska spostrzegli Moskale dziwny widok... Garstka straceńców z gorącym pośpiechem broń nabijała... Śmiech nieludzki wydarł się z ich piersi. I to—opór... Lecz oficer dojrzał ich twarze. Poznał, że pobić ich—to wziąć im ten pyszny sztandar, a wziąć go im, to wydrzeć z palących piersi serca... Lecz trzeba, bo sztandar—to krzyż...

Jak wał ochronny przed burzą runął zboczony krwią swą oddział... Jakiś zwierzęcy, szalony śmiech zaświecił na dzikim obliczu oficera, gdy zobaczył, jak sztandar, serce obrońców—runął... Sam utopił bagniet w drgającym ciele chorążego—boha-

tera, który ostatnim kurczem śmierci zacisnął pięści wokół drzewca... Cisza... i dziki okrzyk morderców przedarł się przez ciemności. — Zwycięstwo!...

* * *

I znów cisza... Śnieg tylko prószył bezustanku, kładł się białym całunem na trupach bojowników, okrywał miejsce walki. A sosny jeno rapsod rycerski w tęsknym gałęzi poszumie śpiewały... Chwały wiecznej rapsod...

Wiesław.

Bez tytułu.

...consilium dare audeamus libere. (Cicero).

Ledwo minęły ostatnie dni Adwentu, ledwo rozbrzmiała pieśń: *Bóg się rodzi*, a już zjawił się rój zabaw i balów, „sylwestrów” i „sylwesterków”. „Ciężkie czasy!” — narzeka urzędnik; „oj ciężko!” — wzdycha matrona, obarczona kilkorgiem dzieci, na obiad czasami i funta mięsa nie ma za co kupić, mimo to córkę wystrojoną uperfumowaną, wymalowaną wysyła tam, gdzie w dziwacznych shimowych czy foxtrottowych skokach sprezentować się mogą za ostatek grosza kupione białe sukienki i nieprzyzwoicie śpiczaste buty.

Już i wśród młodzieży chodzą gorączkowe pytania: „kiedy zabawa?”, a rychło patrzeć, jak z usilnych zabiegów „komitetowych” wyłoni się smok—zabawa, co pożre wszystkie uczniowskie, trudem dobyte z ojcowskich czy własnych kieszeni sumki, a której, niby echa, długo wtorować będą już nieoficjalne „sympatykowiczian” zabawy.

Nie chcę rzucać tu ziarna, z którego-by polemika wyrosć miała; nie chcę, jak może niektórzy twierdzić będą, przypodobać się komuś, ale ośmielony wielce uczonem powiedzeniem, w wielce uczonej rozprawie: *veritas liberabit vos**) — chcę na podstawie własnego doświadczenia i własnych spostrzeżeń dowieść szkodliwej działalności „kręcących” się zabaw.

*) *Spójnia* n-r 4, str. 38.

Pominę już to, że na zabawie i wybitnej inteligencji można zgubić nożem odcięty nos czy wargę, jak to miało miejsce dn. 5 stycznia b. r. — bo nie wierzę, by młodzież nasza (t. j. gimnazjalna), była tak bohaterską, a raczej godziwie, bez krwi rozlewu bawić się woli. Ale cóż daje i nie wiem jak godziwy bal? Pociąga tylko za sobą stratę pieniędzy i czasu, a w zamian daje rozstrojenie nerwów i zwichrzony spokój. Łudzi się ten, co mówi, że godziwa zabawa jest lekarstwem i koniecznością duchową człowieka. To fałsz! Zabawy to największe choroby, co gubią i zżerają nie wiem jak silnego ducha. Nie kończą się one bowiem wtedy, gdy muzykant z trąbą na plecach opuszcza salę, ale przedłużają się w tobie nieraz na tygodnie i miesiące całe. A któż potrafi okiełznać myśl ludzką, któż tamę jej położy? I cóż się dzieje? ten, co godzinę nawet tylko się bawił, traci równowagę z początku chwilowo, po drugim balu na czas dłuższy, aż wpada potem w wir napół szalony i staje się szaleńcem. Nie zdolny do poważnej myśli, czynu; wiecznie podenerwowany, zapatrzony w coś, czego niczyje oko nie widzi.

Tydzień, a nawet już więcej temu, spostrzegłem grupkę studentów, bladych jak mary, stojących na środku ulicy i rozprawiających o czymś głośno. Zaciekawiony podchodzę bliżej i cóż słyszę... „A co pan mówi, to stara figura shimmi. Przepraszam, to nowa“ — rzecze drugi, — „Ot proszę“... I zaczęli wszyscy, jak na komendę, tak dziwacznie wierzgać nogami, że z obawy o swoją garderobę, odsunąłem się opodal. Po chwili odzywa się najzacieklejszy „modny tancerz“. „Chodźmy się napić!“ — „Chodźmy“, krzyknęli wszyscy i poszli, pożegnawszy mię gorączkowo. Mnie zaś nasunęło się pytanie: „Czy wszystka ta nasza młodzież z tego wielkiego świata taka?“ I jakiś niewysłowiony ogarnął mię wstyd i żal... Dawiaduję się potem, że ci młodzieńcy od kilku tygodni żyją tylko zabawami i pijatyką. A wszakże i oni kiedyś byli zdrowi duchowo, a dziś to już karykatury ludzi.

A cóż społeczeństwo? Zachwyca się jak „mili chłopcy“, wlewają warszawskie życie w zastygły Sandomierz! A gdzież męski charakter, męski duch? Osłabł, zgnębił się na zawsze, jeśli mu zbrakło sił, by się otrząsnąć i uzdrowić.

Jakże zapobiec temu upadkowi ducha?

Ograniczyć, albo nawet zupełnie znieść liczbę zabaw tańczących. Niechaj starsi, których już nie zepsuje i nie naprawi, bawią się. Niechaj dziewczęta motają zię w sieci intryg, dla

których najurodzajniejszą glebą zabawy. Tobie, kształcący się młodzieńcze, inny cel winien przyświecać. Masz w sobie skarb ducha, co go w złoto prawości i siły oprawić należy, bo w tem leży byt naszej Ojczyzny. Kształć ducha *usque ad finem*, a że należy ci się rozrywka, szukaj takiej, gdzie wiedzę pogłębisz i zadowolenie odniesiesz. Pokazał już Komitet Redakcyjny *Spójni* przez urządzenie ostatniego wieczoru, że młodzież zdolna jest do czegoś więcej,—a myśmy wszak i ubawili się i coś skorzystali. Sposobność do zabaw nie ucieknie, a czys kosztowny ucieka. Zwlekać czas z kształceniem ducha nie wolno, bo *periculum in mora* mawiali nasi przodkowie. 1)

Peritus.

* * *

*Umilkł już dzwonek, we mgłach ukryty,
i czasem tylko ozwał się srebrnie—
jasnym tumanem do snu spowity
już do mnie więcej z głuszy nie przebrnie...*

*Konie ustały w zawrotnym biegu,
rzucając snopem skier djamentowych.
Widać ich cienie na białym śniegu,
w alei cichej, wśród drzew lipowych.—*

*Sanki mkną dalej, dzwonek się żali,
i tęskną, smutną melodją płynie,
co się tam snuje hen! w śnieżnej dali,
aż w mroku znowu umilknie, zginie...*

Sandomierz.

Es.

1) W myśl zasady, że w piemku szkolnem ma się pomieszczać wszelkie przejawy myśli braci uczniowskiej, drukujemy powyższy artykuł, świadomi krańcowych, czasem nieuzasadnionych poglądów autora. Sprawę, tu poruszoną, uważamy za bardzo aktualną i dlatego wszelkie w tym względzie głosy w *Spójni* zamieścimy. (Przyp. Red.)

Z pod płaszczyka Muz

V.

(„Kobieta polska na tle dziejów“, cz. I (pięć fragmentów). — „Wieczór“.)

Po jałowych miesiącach jesieni, która widać usposobiła ogół tak melancholijnie, że patrzył na świat przez szkiełka pesymizmu, zatruwającego każdą pracę—nadeszła zima i w niespełna półtoramiesięcznym czasie przyniosła nam trzy wrażenia z trzech odbytych przedstawień. O pierwszym pisałem w n-rze grudniowym *Spójni*, pozostają zatem do omówienia dwa.

Dnia 15-ego grudnia u. r. oznajmiły nam afisze, że w Seminarjum Nauczycielskiem ma się odbyć za trzy dni interesujące widowisko, złożone z pięciu fragmentów różnych utworów, różne czasy reprezentujących, a związanych w jedną całość p. t.: „Kobieta polska na tle dziejów“. Na wieczór pierwszy złożyło się pięć wyimków; drugich pięć ma stanowić drugi wieczór. Przejdę do kolejnego omawiania poszczególnych fragmentów.

Pierwszym obrazem, jaki ukazał się naszym oczom, był prolog do *Lilli Wenedy* Słowackiego. Prolog ów wystawiono wspaniale, inscenizacja pozostawała bez zarzutu, a nawet mogła wywołać pewien podziw dla pracy, która została w nią włożona. Gra aktorek była dobra, zwłaszcza Roza, swą wyśmienitą grą w każdym słowie, ruchu, spojrzeniu czarowała wszystkich. Chór harfiarzy utrzymał się w swej roli naogół dobrze. Drugim obrazem była scena z *Legendy* Wyspiańskiego, przedstawiająca Wandę i chór wodnic w chwili składania ofiary. Inscenizacja i tym razem była świetna, (jak zresztą przez cały ciąg wieczoru przedstawiała się okazale), gra natomiast Wandy wypadła nieco gorzej. Chór wodnic wywarł wrażenie całkiem dodatnie. Po *Legendzie* ujrzeliśmy fragment z ks. b-pa Bandurkiego *Jadwigi*. Krótki, pełen uczucia, pełen pewnego rodzaju mistyki przeszedł w umyśle widzów bez zachwycających, ani zbyt złych wrażeń;— był on spokojnym odpoczynkiem, aby móc się zachwycać zarówno wystawieniem jak i grą aktorek czwartego fragmentu: *Halszki z Ostroga* Szujskiego. Beata, matki Halszki, odtworzyła w zupełności typ dumnej ksieni o żelaznej, despotycznej woli, jak również Halszka wykonała swą rolę zadowalająco. Ostatnim, piątym fragmentem była scena z opery Moniuszki: *Straszny dwór*. Dzięki staranności, dobrze zharmonii-

zowanego chóru, dobrze opracowanych partyj, śpiewanych solo czy duetem, zostawiła po sobie dodatnie wrażenie.

Taki był przebieg pierwszego wieczoru, który miał wiele momentów wzruszających, dzięki dobrej grze aktorek, oraz dzięki wspaniałemu, pełnemu pracy, wystawieniu. Dawno nie było tak miłego wieczoru, i dlatego należy czekać z niecierpliwością na drugi.

* * *

Staraniem Komitetu Redakcyjnego *Spójni* odbył się w dn. 12 i 13 stycznia „Wieczór“, na program którego złożyła się część koncertowa i sztuka J. A. hr. Fredry: *Consilium facultatis*. „Wieczór“ rozpoczął chór (ze zwykłym powodzeniem), następnie szła mniej lub więcej szczęśliwa w wykonaniu gra na skrzypcach przy akompaniamencie. Część koncertową wsparła dobrze wykonana deklamacja *Chorążego Henna*. Po nastrojowej części muzykalno-wokalnej ukazało się *Consilium facultatis* i dało to czego żąda komedia;—publiczność była rozbawiona, a więc wykonanie komedji odpowiedziało swemu zadaniu, chociaż przrznajemy, miało parę scen bladych, niedociągniętych. Jedną z takich scen był np. moment pierwszego spotkania Zdzisława z Anusią. W scenie zbiorowej, kiedy-to doktor Rzeszko spotyka się z uzurpatorami swego nazwiska, jak również kiedy na scenę wchodzi Bolbecki po skonsumowaniu zwykłego, prozaicznego prosiaka, zaszło pewne niezgranie aktów. Na wzmiankę z powodu dobrej gry zasługują w pierwszym rzędzie z ról męskich: Bolbecki, Waluś i D-r Rzeszko, z żeńskich Małgorzata i dobry typ służącej Joasia.

Naogół *Consilium* spotkało się z uznaniem, gdyż jako komedja wniosło wiele wesołości, komizmu, na czem już od dawna po „poważnych“ przedstawieniach, „wieczorkach“ i t. p. u nas nie zbywało.

Znicz.

Z UCZNIOWSKIEGO ŻYWOTA

(„Oplątek“).

Gdyby nieboszczyk Szekspir opuścił miejsce wiecznego spoczynku w ojczystym Albjonie, i (dajmy na to!) przywędrował do naszego „stareńskiego“ grodu, lub (idźmy jeszcze dalej!) do wiedzy na ulicy Gołębickej — wtedy na widok tego, co się

w „onym przybytku“ działo, krzyknąłby zapewne rozpaczliwie: „wiele jest rzeczy na niebie i ziemi o których się nie śniło nietylko „wybujającym“ filozofom, ale i najprozaiczniejszym śmiertelnikom!...

Cóż się więc takiego sensacyjnego stało, że aż Bogu ducha winno Szekspir wywleczony do tej „kroniki“ został?... Czyżby Wisła wylała i podmyła stromą skałę, na której wznoszą się mury uczelni. Czyżby trzęsienie ziemi nawiedziło z Japonji nasze zastygłe miasto z przyległościami? A może pożar „strawił“ tę znaną część Sandomierza, gdzie to syny i córki Syjonu rozłożyły się obozem i pędzą błogi żywot?...

Aby uspokoić trwożliwego o los Sandomierza czytelnika — powiem odrazu, że nic podobnego się nie stało! I mury seminarjalne jeszcze sterczą ku uciesze nam, i wszystkie odrapane budynki stoją buńczucznie i nic sobie z jakichś tam trzęsień na końcach świata nie robią, i pożaru dla spokoju miejscowej straży ogniowej, też nie mieliśmy.

— Ależ, co się stało? — sarknie czytelnik, znudzony tem przydługim gawędzeniem o... niczem. — „Co ma piernik do wiatraka“, a „klituś—bajduś“ do „uczniowskiego żywota“? Daruj więc, czytelniku, jeśli cię znudził i słuchaj, co ci powiem...

* * *

Po wielu sensacyjnych wydarzeniach w gimnazjum w seminarjum (część I „Kobiety“) i na szerszym świecie („mróz aż piszczy“, sport saneczkowy z przeszkodami) — ostatnim (tylko narazie, bo co parę dni to jakieś przedstawienie, to spektakl to to, to owo — tak, że zwykły śmiertelnik nadążyć nie może) — ostatnim, powtarzam, (bo mi te nawiasy w „paradę“ wlaży) wypadkiem, i to wypadkiem tak sławnym, że po wszystkich zaułkach miasta o nim się powiada i komentuje — był „opłatek harcerski“, o którym tu szerzej pomówimy.

Już od miesiąca widzieć się dały gromadki naszych „zuchów“, obładowanych torbeczkami z mąką, z której miały się wypiec smaczne kołaczki, uświetniające ten poświęteczny „opłatek“. Do „opłatków“ przygotowano się uroczyście. Wyszorowano samowar, wyuczono „maluczkich“ różnych skoków, figlów i tym podobnych koziółków, pozapraszano na tygodnie całe przedtem wszystkie „urzędowe“ figury, — koleżanki zaś w skrytości ogro-

mnej i tajemnicy jeszcze większej przygotowały jakieś niespodzianki, któremi miały sprezentować tak siebie, jak i swoje umiejętności.

Po różnorodnych ćwiczeniach skautów (piramidy) po połamaniu się opłatkiem, deklamacjach i przemówieniach nastąpiły tańce.

Drugim (najważniejszym) punktem w programie była kolacja, sporządzona z herbaty i chleba przetykanego gęsto powidłami.

Następnie wyszła dziewczyna, ubrana w kołpak z tektury w płachtę *à la* pantalony w jednym ręku dzierżyła pospolity kijaszek, w drugiej zaś madrygał. Strój miał oznaczać arlekina, a papierek—życzenia przy opłatku.

Tańce, które potem nastąpiły, zaczął ładnie przygotowany przez Seminarjum „Kulig krakowski“, który wniósł na salę z werwą krakowiaka pochop do tanów, które zakończyły ten miły wieczór.

Spectator.

„JASEŁKA”

Betleem Polskie

Na zakończenie Okresu Świątecznego wystawiło gimnazjalne „Kółko dramatyczne” „Betleem Polskie” Rydla, pod reżyserją niestrudzonego kierownika prof. Konecznego.

Przedstawienie tak zdawałoby się nieproporcjonalne w stosunku do sił i środków technicznych, będących do dyspozycji na gruncie naszego miasta,—udało się w zupełności, co zawdzięczać należy z jednej strony biegłej reżyserji i prawdziwie niestrudzonej energii kierownika, z drugiej strony gorliwej i nawet w pewnych rolach artystycznej współpracy uczniów, zwłaszcza klas wyższych.

Trzy odsłony „Jasełek” tradycyjnych, ze scenami pasterskimi, sceną herodową, i symbolicznym korowodem przedstawicieli narodu polskiego w ciągu dziejów,—przeplatane typami jasełkowymi szopki ludowej: Żyda, Jędryka-Mędrka, Twardowskiego, Djabła i Dziadka, robiły nawet duże wrażenie, a odtańczenie pełnego werwy krakowiaka przez 4 chwackie pary, przy wtórze kapeli, ustylizowanej w duchu ludowym, dostarczyło miłych wrażeń swojskości i temperamentu szczerego.

Na podniesienie zasługuje prawdziwie artystyczne odtworzenie roli przez Heroda (k. Nowakowski) Jędrka-Mędrka (k. Cybulski) Żyda (k. Kuśmierski) i wogóle wszystkich figur jasełkowych.

„Koło dramatyczne” składa w tem miejscu podziękowanie tym wszystkim, którzy przyczynili się do wystawienia „Jasełek” a przede wszystkim Dyrekcji Seminarjum żeńskiego, Dyr. Żuławom, p. prof. Langierowi, p. Kotulskiej, p. prof. Skierczyńskiemu, p. Śliwowskiemu i p. Pietraszewskiemu.

KRONIKA SZKOLNA.



Ś. P.

STANISŁAW ADAMCZAK

uczeń klasy V-a



Ś. P.

HENRYK SOŁTYK

uczeń klasy I.

zmarli w czasi świąt Bożego Narodzenia

Tragiczna „anabasis”. Nie-
wesoło się przedstawiał nasz powrót
do Sandomierza z domowych pieleszy.
„Wedle rozkazu” mieliśmy się już
3-go stycznia znaleźć w obrębie mu-
rów gimnazjum. Tymczasem los zrzą-
dził inaczej. Sroga zawieja i zasy
po sandomierskich, przepaścistych
wąwozach tak zastraszająco podzia-
łały na wielu, że dopiero po dniu,
dwóch i trzech wyrzeli na świat
Boży z wiejskich opłotków i zdecydo-
wali się przyjechać do „grodu”

Z „Kina Szkolnego”. Nieprze-
widziana przeszkoda w postaci figlów
elektrycznych, oraz najrozmaitsze
„wieczory” „opłatki” uniemożliwiły
Dyrekcji kina pokazanie widzom no-
wych obrazów z włości „dziesiątej
muzy”. Jedynie zaraz po naszym
przyjeździe z domu (kiedy-to zasoby
pekuniarne przedstawiały się niezgo-
rzej) dano przedstawienie.

„Wieczór”. Staraniem Komitetu
Red. „Spójni” odbył się 12-go i 13-go
stycznia „wieczór”, na program któ-
rego złożyły się: śpiew chóru szkol-
nego pod batutą prof. Langiera, gra
na skrzypcach przy akompaniamencie,
deklamacja wiersza Hennera: „Cho-
raży” i odegranie jednoaktówki J. A.
hr. Fredry: „Consilium facultatis”.
(Szersze omówienie w felj.: Z pod
płaszczka Muz”). — Dochód prze-
znaczono na fundusz wydawniczy
„Spójni”.

Na tem miejscu składa Komitet
gorące podziękowanie za czynną po-
moc przy urządzeniu „wieczoru”: re-
żyserowi p. prof. Konecznemu, p. prof.
Langierowi, Dyrektorstwu Żuławom,
pp. E. Grudniównie, H. Różyckiej, Z.
Więckowskiej i M. Tołwińskiej, por.
Skierczyńskiemu i p. Śliwowskiemu.

Opłatek harcerski. Hufiec
męski i drużyny żeńskie urządziły

dnia 19. I w sali naszego gimnazjum „opłatek harcerski“. Zabawy ruchowe, popisy gimnastyczne drużyn męskich, „niespodzianki“ — żeńskich, opłatek i kolenda, deklamacje, i przemówienie no i... nieodzowne tańce bardzo urozmaiciły program, a dla obecnych były źródłem wielu miłych wrażeń.

(Sprawozdanie z pracy w Hufcu, w Sodalicii i innych organizacjach z powodu braku miejsca zamieścimy w następnym n-rze).

Ciepłe śniadania. Z dniem 21. I Stowarzyszenie Uczniowskie „Jutrzenka“ rozpoczęło rozdawanie ciepłych śniadań, które składają się zazwyczaj z kubka herbaty i pokazanej bułki, względnie rogalka.

Półroczel Mimo co tydzień odbywających się „wieczorów“, „opłat-

ków“, przedstawień i t.p. widowisk — miecz Damoklesa w postaci dwójek przy końcu półrocza nie przestał wisieć nad głowami uczniów, lecz przy każdej wesołej chwili świszczy za uchem głośne „memento!“ Pamiętaj!...

„Betleem Polskie“. W dniach 25, 26 i 27 stycznia wystawiło „Kółko dramatyczne“ uczniów tutejszego gimnazjum „Betleem Polskie“ Rydla, pod biegłą reżyserją prof. Konecznego i współudziale czynnym młodzieży obu zakładów: Seminarjum i Gimnazjum. Trzy wieczory oglądały salę pełną, młodzież rozbawioną a przyniosły obu stronom (młodzieży i publiczności) wiele chwil miłych, radosnych a nawet podniosłych.

(„sylf.“)

21. I. 924.

REDAKTOR: WINCENTY BUREK.

Diec. Zakład Graf.-Drukarski w Sandomierzu